



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Z ŻYCIA RODZINNEGO.

Siostra.

Zaufaj nam, Helu, jedź do Krakowa, tak się wszystko dobrze składa, będziesz mieszkała u wujenki.

— O nas bądź spokojna, nie nadużyjemy swobody — przerwał bratu Karol.

— Nie usłyszysz o nas nic złego, siostrzyczko! — zaręczał Stefan.

Ta, do której zwracały się serdeczne słowa dwóch młodych chłopców milczała, bo toczyła ciężką wewnętrzną walkę.

Miała już lat dwadzieścia a nie pomyślała dotąd nigdy o sobie. Czemu? ot, tak schodziły niepostrzeżenie lata na pielęgnowaniu słabowitego ojca, którego przybiła strata ukochanej żony, na cichem a skrętnem zabieganiu około rodzicielskiego domu i braci. Hela tak zrosła się ze swemi obowiązkami, że sama nie spotrzegła, jak bardzo jest użyteczna. Są natury, które nie żądają nigdy nic dla siebie i w

tem znajdują szczęście. Taką była Hela. Wesoła, świeciła jak promień słońca; dobra, umiała spędzać troskę z czoła rodziców; rozsądna, kierowała braćmi. Ona to uczyła ich póki byli mali, a kiedy zaczęli uczęszczać do szkół, pilnowała odrabianych lekcji. To, co sama umiała, zawdzięczała drogiej matce, później nabywała wiadomości dorywczo, z książek braci, z notatek robionych przez dobrą towarzyszkę. A jednak

Hela umiała dużo, gdyż tlił w sercu dziewczęcia ogień nieugaszonego pragnienia wiedzy, który w parze z pobożnością odrywa myśli od próżności, a przyzwyczajają zajmować się tem, co wielce szlachetne.

Teraz Hela mną była w domu potrzebna, mogła więc systematyczną nauką dopełnić swoje wykształcenie, czy ojciec nie ucierpiął na oddaleniu?

— Jedź, Helu, do Krakowa. Ojciec zdrow dzięki Bogu i sam ciebie nawiedzi.

— Czas szczęście pomyśleć o sobie — przerwał Karol. — W



czywszy poważne studia. Nas zastaniesz już nie w gimnazjum, ale jako studentów politechniki i uniwersytetu. Za parę lat razem pracować samodzielnie zaczniemy.

— Razem przyczyniać się do dobra ludzkości, jak Pan Bóg przykazał — dorzucił Stefan.

— Tak! zawsze razem, Helu; za miłość doznawaną w dzieciństwie, otoczmy cię miłością i opieką braterską. Pojedziesz, siostrzyczko? — pytał Stefan.

Pojedzie. Czekala dotąd, ale teraz pojedzie, ona tak kocha naukę. Najbliższy obowiązek wypełniła święcie; ojciec i chłopcy nie potrzebują już jej stale. Wykształciwszy się gruntownie, będzie jeszcze lepiej służyła Bogu, rodzinie i społeczeństwu. A zresztą gdyby spostrzegła, że bez niej dom idzie inaczej, nie zawaha się, powróci natychmiast.

I pojechała.

W ogrodach Cezara.

Nad Romą mroków zawisła kotara,
Za chwilę luną błysnie purpurową
Nieboskłon cały na rozkaz Cezara.
Wicher lka ludzkich skarg pieśnią celową,
To huczy groźbą... to znów w jęku kona —
To w dal tysiącznych głosów niesie wrzawę,
Z którą tłum płynie w ogrody Nerona,
Patrzeć na chrześcijan męczeństwo bezkrawawo!
Tam z ofiarami rząd krzyży się pali,
Zdobnych w girlandy mirtu, bluszczów sploty
W róże i wstęgi — jak las sterczą w dali. —
Ostatnim błyskiem słońca promień złoty
Pada na skronie męczenników wiary,
Co w okół światła widzą już niebiańskie,
I świecą ogniem ponad tłum ten szary
Wzniesieni, jako „pochodnie chrześcijańskie”.

* * *

W bogatej niękiej kwadrydze cyrkowej
W cztery źmierzyste zaprzężonej konie;
W drogich kamieni jasności tęczowej,
Co świetnym wieńcem dumnie zdobi skronie,
Otoczon falą ludu, co się chyli
Do stóp, jak kłosie wichremi poruszone,
Neron nadjeżdża — i oto w tej chwili
Z dźwiękami rogów i cytr połączone
Rozbrzmiały głosy: „Ave Cezar! Ave!”

* * *

Ciemno... i pierwsze lśnią już gwiazdy drżące...
Zabrzmiały trąby — na znak ten ogniste
Węże objęły w uściski gorące
Ofiarnych krzyży podnóża kwieciste.
Płomień rozkręcił róż i mirtów zwoje,
Rozplół zielone girlandy bluszczowe,
Z słomy ukrytej w stubarwne powoje
Strzeliły iskier deszcze brylantowe!
Jękiem skazańców ogrody rozbrzmiały,
I w jeden wielki okrzyk bólu złane,
Tysiączne głosy wśród płomieni lkały,
Melodyą pieśni jakiejś przytłumione.
Dziwy!

Lud rzymski ze zdumieniem słucha,
Krzyżowych wyżyn idzie śpiew ku niebu;
On! to zwycięzki hymn silnego ducha,
W czas tej ziemskiej powłoki pogrzebu!

A z tych płomieni śpiew ku niebu wzięta,
Skrzydłem miłości w podwoje gwiaździste
Potęgą wiary i cierpień kołata...
Ave! pozdrowion bądź o Chryste! Chryste!

Na jednym z pali strojnych w bluszczu zwoje
Zawisł w płomieniach nawpół konający
Starzec chrześcijanin — już barwne powoje
Nad skronią jego spalił żar gorący,
Już ogień rzucił purpurowe szaty
Na ciało wąż, od dymu czerniałe...
Duch jeszcze ziemskie zamieszkuje świąty,
Choć już do wyższych wznosi skrzydła białe!

Wtem, z pośród tłumów orszak się wychyla:
W żółtych tunikach niewolników grono
I pacholeta z skrzydłami motyla,
Niosą Flawiusza lektykę złożoną.
„Biegacze” robią miejsce dla orszaku,
W lektykę pada wonny deszcz kwiecisty,
Wzrok pana biegnie po krzyżowym szlaku,
Co się wzdłuż drogi ciągnie płomienisty.
Twarz jego niema patrycyuszów dumy,
Ani wesołej szyderskości cienia,
Choć się wysoko wznosił nad biedne tłumy,
Snać jakieś przykre trapią go wspomnienia...
On, dla którego świat uciechy czara,
Zbladł nagle — zadrżał... dłońmi twarz zakrywa
I wstecz się rzucił przed okropną marą,
Co w nim szaloną burzę jakąś zrywa!
Patrzy zdumione niewolników grono,
Przelekli, trwożni, cisną się dokoła, —
Pan ich skamieniał... odkrył twarz zmienioną,
Myśl jakaś straszna zastygła u czoła.
Z wyżyn krzyżowych męczennika oczy,
Patrzają poważne, dziwnie przejmujące —
Przez nie spogląda duszy żąb przezroczy,
Żrenice mówią... milczą usta drżące!

Ta bez słów mowa śnać jest zrozumiała;
Starzec nią męża tego na sąd wzywa,
Bo wnet pojęła rzesza w okół cała,
Że jakieś straszne łączą ich ogniwa...

Flawiusz chciał uciec od tej wspomnień mary,
Co go w śmiertelne objęła ramiona,
Lecz czuł, że u stóp płonącej ofiary
Trzyma go dziwna moc nadprzyrodzona...

I znikły z oczu jego tłumy gwarne,
Piękna lektyka, sługi, niewolnice,
Tylko rozwarły się otchłania czarne,
I dnia sądnego płyną błyskawice!..

Nagle, jak gdyby z letargu zbudzony
Zerwał się; w twarzy taki bezmiar trwogi
Z ogromem bólu i smutku złączony,
Jakby za życia przeszedł piekiel progi!
Ze złotej szybko wyskoczył lektyki —
Zachwiał się... w górę drżące podniósł ręce,
Kędy ogniste strzelały języki
I siwy starzec w strasznej konał męce...

„W Imię Chrystusa... o Marku Stevianie!
Przebacz”

Wnet cisza zaległa dokoła,
Dreszcz przeszedł tłumy — słychać kobiet łkanie.

(d. n.)



Jak oznaczyć dzień tygodnia dla wiadomej daty.

(Dalszy ciąg)

Rozmaite metody oznaczania dni tygodnia dla dat danych.

Rozwiązanie zajmującego nas zadania nie jest rzeczą nową. Znaną jest bowiem spora liczba sposobów oznaczania dni tygodnia, odpowiadających jakimkolwiek datom. Istnieją różne w tym celu układowe tabliczki, z których odpowiedź na pytanie otrzymywana bywa drogą poprostu mechaniczną. Są również i różne sposoby rachunkowe, a między innymi, przyjęte w kalendarzu kościelnym: odnajdujwano tak zwanej *luty niedzielnej*.

Tabliczki, mogące obejmować ograniczoną tylko ilość liczb, służyć mogą dla ilości lat również tylko ograniczonej. Sposoby zaś rachunkowe walczyć zwykle muszą z trudnością, sprawianą przez nieszczęsny miesiąc luty, zawierający ilość dni niestałą, bo 28 lub 29, skutkiem czego, w latach przestępnych, rachunek innym być musi dla dwóch pierwszych miesięcy w roku, a innym dla pozostałych.

Sposób niżej podany, jako rachunkowy, ma tę wyższość nad tabliczkami, że służyć może dla wszelkich dat jakiegokolwiek roku. Od innych zaś rachunkowych sposobów wyróżnia się zaś przez to, że wyżej wspomnianą trudność z miesiącem lutym usuwa zupełnie.

Dla osiągnięcia tego celu, rok w rachunku liczyć rozpoczynamy nie od d. 1-go stycznia, lecz od 1-go marca. Nie naruszamy przez to kalendarza, odstępstwo bowiem od niego wprowadzonym zostaje jedynie tylko do rachunku, — zyskujemy wszakże przez to tę dogodność, że luty, przyczepionym będąc wraz z styczniem do roku poprzedzającego, staje się miesiącem ostatnim w roku i rachunku już więcej nie ma.

Poprawki miesięczne.

Weźmy teraz pod uwagę jeden rok szczególny, oznaczony liczbą *kończącą się na dwa zera* (00), np. 400-y, 1100-y, 1900-y lub inny podobny, — z góry o tem nie przesadzamy — lecz z tem zastrzeżeniem, że w roku owym *dzień 1-szy marca wypada w niedzielę*. Dzień więc (wedle naszej rachuby) pierwszy w roku wypada w dniu pierwszym tygodnia.

W roku tym, każda początkowa liczba któregośkolwiek dnia marca oznacza sama przez się właściwy mu dzień tygodnia. Co do pierwszych dni siedmiu, czyli pierwszego tygodnia, jest to łatwo zrozumiałe dla każdego. Co zaś do dni dalszych, od liczby, danego dnia miesiąca oznaczającej, znanym nam już sposobem odrzucamy jedną, dwie, trzy, lub cztery siódemki, a reszta wskaże nam właściwy dzień tygodnia.

Skoro więc dzień 1-y marca był *niedziela*, t. j. dniem pierwszym tygodnia, to np. 4-ty marca będzie czwartym dniem tygodnia, czyli *środa*, a dzień dajmy na to 30-ty marca — *poniedziałkiem*, bo:

$30: 4 = 7$ z resztą 2 — odpowiadającą *poniedziałkowi* (patrz *Tabliczkę I*).

W następnych miesiącach tego samego roku, daty posuną się w tygodniu o pewną ilość dni naprzód. W kwietniu o tyle, ile ich marzec liczył więcej ponad 4 pełne tygodnie, to jest o dni 3. W maju jeszcze o tyle dni dalszych, ile ich ponad 4-y tygodnie liczył kwiecień, a więc o $3 + 2 = 5$ dni. W czerwcu jeszcze o 3 dni więcej, bo tyle ich ponad pełne ty-

godnie liczył maj — i tak dalej. — Tak więc widzimy, że każdemu miesiącowi odpowiada właściwa mu liczba, oznaczająca o ile dni naprzód posunie się w tygodniu każdy porządkowy dzień tegoż miesiąca, poczynając od dnia tygodnia odpowiadającego temu samemu porządkowemu dniu marca. Liczby te nazywamy *poprawkami miesięcznymi*, a zbiór ich będzie następujący:

Tabliczka II. Poprawki miesięczne.

Marzec . . . 0	Wrzesień . 9 albo $2 = 9 - 7$
Kwiecień . 3	Październik 4
Maj . . . 5	Listopad . 7 albo 0
Czerwiec . 8 albo $1 = 8 - 7$	Grudzień . 2
Lipiec . . 3	Styczeń . . 5
Sierpień . 6	Luty . . . 1

Naprzykład :

1) *Jeżeli dzień 1-szy marca był niedzielą, to w jaki dzień wypadnie dzień 1-szy października?* Obliczmy to jak następuje :

Dzień 1-y marca — niedziela (*tabl. I*) 1

Październik (*tabl. II*, popr. mies.) 4

razem . 5 t. j. *czwartek* (*t. I*).

2) *Jaki dzień tygodnia będzie dzień 17-go sierpnia?*

$17 + 6 = 23$

$23: 7 = 3$ z resztą 2 czyli *poniedziałek*.

(*d. c. n.*)

F. G.

Z TAJEMNIC CZARNEGO ŁĄDU.

(Opowiadanie podróżnika afrykańskiego).

(Dalszy ciąg).

O świcie wysłał kilku ludzi umyślnie w tarcze tylko i włócznie uzbrojonych, w stronę wąwozu z rozkazem, aby jawnie i otwarcie usiłovali przedrzeć się przez wąwóz. Ale górale, pilnie przejścia strzegący, rzucili się na nieprzyjaciela, jak rój pszczoł podrażnionych. Napastnicy ulegli przewadze liczby i tył podali a tamci w pogoń się za nimi puścili.

Wtedy z poza złomów skalnych, z przesmyków i szczelin górskich wypadli ukryci ludzie Rusaki i z dzikim okrzykiem wojennym jęli razić nieprzyjaciela rotowym ogniem karabinów. Tamci, tak nie spodziewanie zaskoczeni, zaprzestając pogoni, zwrócili się i wepchnąwszy cały oddział w najciaśniejsze przejście wąwozu, odwrót zatarasowali. Każdy występ skały, każde urwisko na którym noga ludzka utrzymać się mogła, najeżyło się teraz włóczniami, których grotty czerniły się chmurą w powietrzu. Ale i ludzie Rusaki bronili się dzielnie: wiedząc, że odwrót mają przecięty, wiedzieli, że o życie walczą. Piędz po piędzi posuwając się naprzód, ciągłymi grzmiąc wystrzałami, zdobyli wreszcie pozycję, i zanim południe nadeszło, byli zwycięzcami!

Naczelnik pokonanego plemienia, z chaty swojej wyciągnięty, zabity został natychmiast, cały skarb z pieczary zabrano, ale cheiwość Rusaki nie była jeszcze nasycona. Nie kazał zabijać kobiet, jak to często czynią zwycięzcy w owych wojnach międzyplemiennych, lecz rozkazał im zdejmować złote naramienniki i obręcze nogi ich zdobiące i rzucać wszystko razem na jeden stos. A Rusaka z karabinem w rękę, stał i patrzył, gdy jedna za drugą zrzucaly klejnoty swoje, dziwnymi rysunkami okryte, a potem znikaly w załomach wąwozu, dopóki wszystkie nie dopełniły warunku, pod którym Portugalczyk

darował im był życie. Udzieliwszy do następnego poranku wypoczynek swoim wojownikom, zabrał się do powrotu Rusaka, złotem zdobytem obciążony. Pałając niecierpliwością doprowadzenia wyprawy do końca, pędził ludzi swoich bez wytchnienia, aż wreszcie widząc ich wycieńczenie, pozwolił spocząć przez noc w jakichś przydrożnych pieczarach górskich. Jemu zaś samemu tak było pilno pochwalić się swoim powodzeniem przed naczelnikiem, że zdawszy dowództwo jednemu z krajowców! i postawiwszy straż dla pilnego czuwania nad śpiącymi, sam jeden puścił się w drogę, jako zwiastun wieści szczęśliwej.

Naczelnik przyjął go z całą okazałością, na jaką stać wodzów plemion barbarzyńskich a pozostali w domu mieszkańcy wyglądali niecierpliwie powrotu złotem objuczonych towarzyszy, którzy, jak zapewniał Portugalczyk, zjawić się powinni za kilka godzin najdalej.

Tymczasem naczelnik rozmyślał, jak rozdzielić oczekiwane złoto.

Plany podziału okazały się jednak przedwczesne. Przez cały dzień bowiem i późno w noc następną napróżno oczekiwano wojowników: Rusaka długą miał rozmowę z naczelnikiem, ale nic więcej objaśnić nie mógł nad to, co już był powiedział. Zaledwie rozedniało, naczelnik wyprawił kilku szybko-biegaczy, aby się dowiedzieli, co stało się z powracającymi zwycięzcami. Nazajutrz powrócili wysłańcy lecz sami. Naczelnik wysłuchał ich opowieści, poczem

wezwał przed swoje oblicze Portugalczyka. Od pierwszego wejścia domyślał się Rusaka, że złe wieści przynieśli, lecz zdumiał się niezmiernie, gdy naczelnik wypytywać go zaczął o pieczarę, w której, jak to już mówiłem, sahibowie, legli byli na odpoczynek wojownicy.

— Mówiłeś, że ludzie twoi nieśli na sobie złoto — zagadnął go naczelnik — i że wojowników zagórskich wybiliście wszystkich co do nogi, jakimże więc sposobem prawdą być może to, co powiadają moi wysłańcy?

— Jakże odpowiedzieć ci mogę, z niskim pokłonem mówił Portugalczyk — dopóki nie wiem, co powiadają wysłańcy?

Naczelnik za wezwał skinieniem jednego z nich, który, o ziemię czołem ude-

rzywszy, powstał, wysokim wzrostem nad innymi górujący, i włócznie przed siebie wyciągając:

— Patrz! — zawołał — Przyniosłem ją z pieczary, a wyciągnąłem z martwej ręki chrobrego wojownika, tegoż samego Karuhana, o którym powiadał biały zdrajca, że po zaciętej bitwie w wąwozie odpoczywa w pieczarze górskiej.

— Karuhana żyw był, gdym opuszczał pieczarę, spiesząc tu z wieścią o zwycięstwie, — twierdził stanowczo Portugalczyk. — Jego to właśnie z dwoma innymi pozostawiłem na straży u wejścia do pieczary

— Powiedziałeś nam, że wszyscy wojownicy nieprzyjaciela polegli śmiercią walecznych? — wypytywał dalej naczelnik.

— Ani jeden nie został przy życiu — odpowiadał Rusaka. — Takie było rozkazanie twoje władco, i wypełniłem je co do słowa.

— A kobiety? — pytał naczelnik jeszcze — czyż je zabrał w niewolę?

— Zabrałem im złoto i zostawiłem je, aby opłakiwały zabitych mężów.

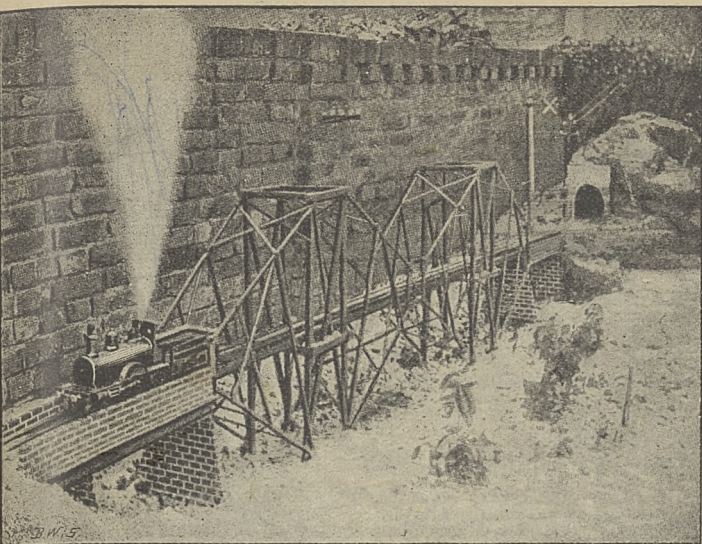
— Usłysz-że, co do powiedzenia mają wysłańcy i wyznaj, czyj podstęp, twój, czy owych kobiet, życia moich wojowników pozbawił — z gniewem zagrzemiał naczelnik,

A wysłańiec, włócznie potrząsając, jął mówić:

— Na rozkaz twój, o wielki Władco, ruszyliśmy w podróż. Nie zbaczaliśmy ani na prawo ani na lewo; trzymaliśmy się drogi prostej, jak wąż, który się na łup swój rzuca. Biegliśmy tak szybko, że zeszcłe

splątane trawy zaledwie się ugiwały pod naszymi nogami. Dobiegliliśmy nareszcie do miejsca, które wskazał Rusaka i które z dawna już znane nam było. Szybciej od wiatru, który zmienia kierunek, zawróciliśmy z drogi i pobiegli do pieczary. U wejścia natknęliśmy się na ogromną kupę popiołu: ogień tu widać palono, a dym wchodził do pieczary kłębami. Z obawą weszliśmy do środka, wiedząc, jak często prosty ten sposób pogrzyźł bez przebudzenia ludzi już snem zdjętych a zbyt zmęczonych, aby uciec od ognia, którego dym o garnia ich i dusi. Nie dalej jak na rzut włóczni od miejsca stał Karuhana wsparty na włóczni głęboko uwięzłej w oczerniałej od dymu ziemi. Wołał go imieniem





Most żelazny na 39 stopie.

jego, wołaliśmy go wypominaniem dzielnych jego czynów; nie odpowiadał nam ani słowa! Zapaliliśmy pochodnię i świecili mu nią prosto w twarz; oczy jego były zamknięte. O władco, wielki władco, umarłym już był Karuhana!

Chodziliśmy po całej pieczarze, zaglądaliśmy w każde jej wgłębienie: wszędzie — po jednym, po dwóch, po kilku, to pół siedzących, to na ziemi rozciągniętych, to z głową o skałę wspartą, widzieliśmy twoich wojowników—zwycięzców, jak ich nazywa Rusaka. Ani jeden z nich nie żył, a co więcej, nie miał żaden ani złota, tego złota, które nieść mieli na sobie — pobici. Zdobywszy swej snąc pozbawieni, leżeli wojownicy twoi. Takim zobaczyliśmy ich, poczem biedz zaczęliśmy z powrotem szybciej jeszcze, niż w tamtą stronę. Niechże teraz Rusaka odpowiada, niech wytłomaczy, co się stało.

— Kobiety zagórskie uczynić to musiały — odrzekł Rusaka. — Pozostałych tutaj wojowników wysłać trzeba do ziemi Zagórze, a jeżeli się przekonają, że to, com mówił, nie jest prawdą, głową nałożę własną. Dopóki nie powrócą, okujcie mię w kajdany; żadnego nie stawię oporu.

I Portugalczyk wyciągnął ręce na znak, że gołów przyjąć kajdany.

Zaledwie skończył mówić, usłyszano wrzawę ogromną. Więc wyszedł z chaty naczelnik, niosąc w rękę oręż bojowy: wielką, na długiej rękojeści osadzoną siekiere, okrążyli go niebawem pozostający w wiosce, nieliczni wojownicy, Rusaka na czele. Po całej wiosce rozlegał się okrzyk wojenny podgórze, przez kobiety i dzieci rzucony, przez wszystkie piersi powtarzany.

Ale natarcie napastników było tak silne, że garstka podgórze wkrótce była rozbita i rozbrojona. Jakież było jednak ich zdumienie, gdy ujrzeli, że zwycięzcami są kobiety wrogiego plemienia.

(d. c. n.)

ZAHYPNOTYZOWANA

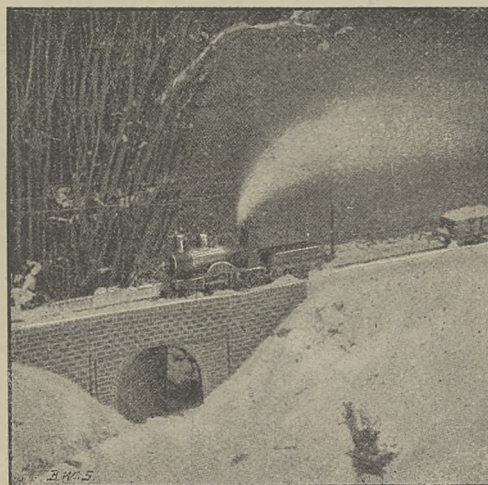
KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez H. S.

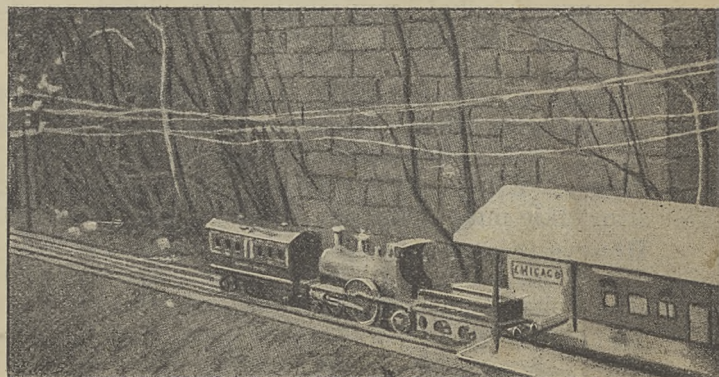
(Dalszy ciąg).

SCENA IV.

Hela, Marta, Kazio,

Kazio. Gdzie Stefcia i Jadzia?**Hela.** Jak zawsze na sekretach.**Kazio.** Nie, daję słowo, — one stają się wprost niemożliwe! — A wy co tu robicie?**Marta.** Wiesz Kaziu, — my suszymy sobie głowę nad tem, jakby im urządzić takiego figla, żeby nas na długo popamiętały... ale nie możemy jakoś nic wymyślić.**Kazio.** (zawsze trochę przesadzony, pretensjonalny) Figla? — e, nic łatwiejszego, — daję słowo, dobra myśl. Poczekajcie, wy niby dorosłe panny, oduczę ja was lekceważyć „sztubaków”. — Czy wiecie, co ta Stefcia mi dziś powiedziała.**Marta.** No co?**Kazio.** Daję słowo, to klasyczne! Wystawcie sobie, że powiedziała mi, że mam gołowąs. Ja gołowąs (idzie do lustra) — Przecież trzeba być chyba ślepym, żeby nie widzieć, jak się wąsy czernią wyraźnie. — Ach te warszawskie lale, to byle tylko człowiekowi dokuczyć! — Ale poczekajcie!**Hela.** Mój Kaziu, wy chłopcy macie w tem więcej doświadczenia, proszę cię wymyśl co dobrego.**Kazio.** O, zobaczysz, ja im za te same wąsy tak przypieprzę i przysolę, że... tak, ale coby im zrobić?**Marta.** Ja mówię... że (naraż słycać turkot, wszyscy bęgną do okna, zobaczyć, kto przyjechał i wołają ucieszeni).**Wszyscy.** Ach, to Henryś, Henryś!**Hela.** Idź, Kaziu, przyprowadź tu zaraz Henrysia, rodzice pojechali do Wąwolnicy, to i tak z nimi teraz przywitać się nie może. (Kazio wychodzi.)

Most arkadowy na 65 stopie.



Krańcowa stacja „Chicago” (str. 15).

SCENA V.

Hela, Marta.

Hela. Zobaczysz, Henryś nam najlepszego figla wymyśli, — on ma paradne pomysły:

Marta. O, on je tak wywiedzie w pole, jak zeszłego roku; — pamiętasz?

Hela. Tak w wigilię św. Jana, gdy poszły o północy szukać kwiatu paproci, a on udał widmo i nastraszył je.

Marta. Jadwinia dostała jakichś palpitacyj serca, bo ona naturalnie musi zawsze urządzać komedye. *(Wchodzi: Kazio i Henryś, żywy, wesoly, wita się z dziewczynkami i mówi jednocześnie.)*

SCENA VI.

Henryś, Kazio, Hela, Marta.

Henryś. Kazik mówi, że te damy są zawsze niepoprawne. Liczcie na mnie. — Powiadam wam, nauczyłem się kapitalnego figla. Będą miały dosyć tej przesady!

Marta. A widzicie, nie mówiłam! Niema jak Henryś — on do tego jedyny.

Hela. Więc co zrobisz, mój złoty, — powiedz, powiedz prędko.

Kazio. Tylko prędko, — bo daję słowo, sam wymyślę coś takiego,

Henryś. Ale wymyślaj, wymyślaj, — zostawiam ci pierwszeństwo.

Kazio. E, kiedy daję słowo... w tej chwili nie mi jakoś nie przychodzi na myśl.

Henryś. Więc nie blaguj, tylko słuchaj. Kiedy przyjdą, zaczęć z niemi rozinawiać jak student uniwersytetu o magnetyzmie, hypnotyzowaniu et cetera bomba, — bo one to bardzo lubią. Powiem im potem, że nauczyłem się usypiać, a potem moje medyum w takim śnie prorokuje nadzwyczajne rzeczy.

Hela. Ojoj — i ty je uspisz? — E, nie rób tego, bo jak się nie obudzą.

Henryś. Ależ ja ich wcale nie będę usypiał, to tylko taki figiel, — zobaczycie, okropnie śmieszny. Ale boję się, że rozśmiejecie się i popsujecie wszystko.

Kazio. Daję słowo, że ani myślę.

Henryś. Czemu ty ciągle dajesz słowo... Ale ja nie o ciebie się boję, ale o panienki, bo one ciągle śmiać się muszą. To już wszystkie kobiety takie, — byle palec zakrzywić, zaraz: chichichi! — O, ja je znam.

Hela. Mój kochany, to mnie nie znasz! Ja potrafię nie śmiać się, choćby ktoś nie wiem jakie mówił głupstwa.

Henryś. A ty Marto?

Marta. Alboż ja wiem?

Henryś. Czekaj, wypróbuję cię; chodź tu do mnie i podaj mi ręce — a teraz patrzmy na siebie i nie śmiejmy się.

(Marta zbliża się, Henryś bierze ją za obie ręce, wykrzywi się, robi pocieszne miny. Marta na razie przygryza tylko usta, potem wybucha śmiechem.)

Marta. Et, kiedy nie mogę nie śmiać się, jak ktoś stroi takie miny, jak, jak... istna małpa! *(śmucje się.)*

Henryś *(urazony).* No proszę... pierwszy raz w życiu usłyszałem taki komplement... Nie, ciebie musimy usunąć z pokoju, bo nam popsujesz wszystko.

Marta. E, moi złoci, niech i ja się ubawię. Po-czekajcie, schowam się tu za parawan, tak, że mnie nie zauważą, i będę przyglądała się całej komedyi.

Henryś. Chyba, że tak.

Kazio. Nie, daję słowo; ależ ona głośno chichotać zacznie.

Marta. Wiesz Kazik, że jesteś nieznosny; zobaczysz, że będę siedziała jak mysz.

Hela. Ale zostawcie ją, ja za nią ręczę... przecież Marta wie, że tu idzie o rzecz poważną.

Henryś. *Sot.* Trzeba być grzecznym dla dam! A teraz słuchaj, Kaziku. Jak ci powiem: przyniesi mi dwa talerze i dwie szklanki wody, wtedy pójdziesz do kredensu, okopcisz spód jednego talerza — ale tylko sam środek — i podasz go Jadzi — nie, albo Stefci, bo ona gorsza. Mnie dasz drugi talerz, czysty. Ale prawda, zapomniałem jeszcze powiedzieć, że szklankę z wodą postawisz na talerzu — i tak podasz. Tylko pamiętaj, żebyś się nie pomylił.

Kazio. E, co znowu? Więc tylko sam środek spodu, mówisz?

Henryś. Tylko środek; uważaj, żeby czasami nie okopcić brzegu, bo zarazby się rzecz wydała — i podaj jej tak, żeby sobie nie zabrudziła palców, zanim ją niby to usypiać zaczęć.

Hela. Wiecie co? Najlepiej ja z nim pójde, żeby czasami talerze się nie pomieszały.

Henryś. Racya! Ta niewiasta ma dzielne pomysły. Więc słuchajcie: Kazik da posmarowany talerz Stefci, a ty Hela, czysty mnie.

Hela. A na talerzu ma być szklanka z wodą?

Henryś. Toż mówiłem! Że też wam sto razy powtarzać trzeba!

Marta. A na co woda? I w ogóle co z tego będzie?

Henryś. Zobaczysz, mała! Nie, jakie te dzieci teraz ciekawe! I potem chcą się uchować!

Marta. Nie nazywaj nas dziećmi. Dzięki Bogu wszyscyśmy już z tych lat wyrosli.

Henryś. Hm... jak kto...

Kazio *(glądząc wąsa).* Daję słowo... masz rację *(patrząc z góry na dziewczynki)*... jak kto...

Hela. Ach, ty zawsze z twojem „daję słowo.” Niby taki mądry, a nic nie mógł wymyślić.

Marta. Nie kłóćcie się. Et, cicho — one idą! *(Robi się ruch; Marta chowa się za parawan. Wchodzi Jadzia i Stefcia.)*

(d. c. n.)

Nasze ryciny.

Dzielne psisko. (Zdarzenie prawdziwe).

W całej niemal Europie druga połowa grudnia była bardzo wietrzna i burzliwa, a wichry te najbardziej dały się we znaki rybakom, mieszkającym nad morzem i utrzymującym się z połowu ryb. Nie mogli wcale wyruszyć na morze. Nadchodziły święta, zbliżał się dzień Wigilii, a biedny Grzegorz z okolic Pucka, nie zdołał ani razu w ciągu dwóch tygodni użyć nowych sieci. Głód zagrażał jego rodzinie. Czarna troska obsiadła wszystkie czoła.

W poniedziałek 11 grudnia rano zapowiadał dzień spokojniejszy.

— Niema co, musimy próbować szczęścia, bo będzie źle — rzekł Grzegorz do syna, młodego wyrostka, zapalonego marynarza.

Temu oczy zaświeciły radością. Łódź dawno już była przygotowana. Wsiadli do niej, mieli już odbić od brzegu, kiedy nagle z chaty wybiegł duży pies. Wykop, ulubieniec całej rodziny, i z głośnem szczeniem wskoczył za nimi do łodzi.



Na śnieżki!

Hejże na śnieżki! hejże na lód!
Ale zadanie zrobimy wprzód,
Nie marudź bracie, ale się śpiesz,
Ja biorę książkę, ty kajet bierz!
Kto obowiązek wypełnia swój,
Ten ma w zabawie uciechy zdrój.
Lecz gdy kto o nim zapomnieć śmie,
Ten się nie bawi szczerze, o nie!

Skończona praca, pogodny czas,
Na białe pole biegnijmy wraz!
Dziś mrozu niema i miękki śnieg
Niech stanie wielki, ze śniegu człek.
Hej, trzymaj bryłę, do góry słup,
Ty ulep głowę, ty rękę rób.
Gdy każdy zgodnie pracę swą niósł,
Patrzcie, jak szybko ten olbrzym wzrósł.

Nie czynь drugiemu, co tobie nie miło.

Wańdzia była figlarną dziewczynką. lecz figle jej często dawały się wszystkim we znaki.

Miała ona dwoje starszego od siebie rodzeństwa: Miecia i Zosię. Gdy Miecio i Zosia siedzieli spokojnie i z zajęciem czytali książki, Wańdzia podbiegała i pociągała za warkocz Zosię, to znów wsypywała za kołnierz Mieciovemu garść drobno podartego papieru. Oni oglądali się z niezadowoleniem, domyślając się kto im tak przeszkadza, a Wańdzia uciekała ze śmiechem.

Jednego dnia wzięła Wańdzia pokryjomu z tabakierki dziadzi trochę tabaki i wyspała między kartki książki, którą Miecio czytał.

— Jakie to będzie zabawne — myślała śmiejąc się już naprzód — gdy Miecio zacznie czytać, tabaka zakreści mu w nosie i będzie musiał kichać.

Ale Miecio dnia tego zajęty czem innym, nie zajął do książki, Wańdzia wkrótce zapomniała o owym figlu.

W kilka dni potem dzień był pochmurny, dzieci nie mogły wyjść na przechadzkę. Miecio miał dużo lekcji więc się uczył. Wańdzia zaś, która jeszcze nie wiele się uczyła, biegała po pokoju, ale jej się nudziło. Przebiegając około półki, na której Miecio kładł książki zobaczyła jedną w ładnej okładce.

— Muszę obejrzeć obrazki pomyślała, i wzięła książkę.

Usiadła przy stole i przewracała kartki. Nagle

uczwała, że jej w nosku coś kręci, nie mogła się powstrzymać i kichnęła. Nie zważała jednak na to i oglądała dalej obrazki. Ale cóż to jest? abcha! abcha! rozlega się raz po raz.

— Co ty tak kichasz Wańdziu, katar masz? zapytała Zosia.

— Nie, nie mam, abcha! kichnęła znów Wańdzia.

— To dlaczego tak kichasz?

Wańdzia teraz dopiero spostrzegła, że to była ta sama książka, którą czytał Miecio i między jej kartki nasypała tabaki.

— A to ja chciałam, abcha! chciałam zrobić Meciowi figła, abcha! i nasypałam w książkę tabaki abcha...

Kichanie nie pozwoliło jej mówić dalej:

— I zostałam ukarana, zawołali ze śmiechem Zosia i Miecio,

— A tak, o jakie to nieprzyjemne — abcha! znów kichnęła Wańdzia. Gdy się uspokoiła, Zosia zapytała jej.

— Zkąd wzięłaś tabaki?

— Usypałam trochę z tabakierki dziadzi — odpowiedziała zawstydzona Wańdzia, bo wiedziała, że źle zrobiła.

— Ach Wańdziu, jak to nie ładnie, nie dosyć, że chciałaś Meciowi, wyrządzić takiego nieprzyjemnego figła, ale jeszcze pokryjomu wzięłaś dziadzi tabaki.

— Ja już nigdy nic podobnego nie zrobię, zapewniała Wańdzia zmartwiona.

— I nie będziesz nam dokuczała?

— Nie, nie.

— To dobrze,—odpowiedziała Zosia—pamiętaj zawsze o przysłowiu: nie czyn drugiemu, co tobie nie miło.

Józefa Grzymałowskiego

Na Nowy Rok.

Witaj, witaj nowy roku!
Witaj dziecię tajemnicze!
Jasność świeci w twoim oku,
I nadzieją lśni oblicze.

Zejdź dziecinko w grono dzieci,
Zejdź na ziemię tę z wysoka,
Może drogę ich rozświeci,
Jasny promyk twego oka.

Może dłoń twa im ukaże

Jasną gwiazdkę gdzieś u celu.

Powiedz, co im niesiesz w darze,

Ich maleńki przyjacielu?

— Co im niosę, zgadnąć łatwo,

Odparł na to roczek nowy:

— Oto niosę tobie dziatwo

Promyk Boży na twe głowy.

Oto staję w twojem gronie

Jak rówieśnik i towarzysz,

Bo to samo gra mi w łonie,

Co ty w głębi duszy marzysz.

Jam młodości twej wyrazem,
Stróżem twoich dni rozkwitu;
W jedną drogę idziem razem,
Po cel jasny gdzieś u szczytu.

Więc z podniosłem w górę czołem,
Po nauki światło Boże,
Idźmy dziatwo, idźmy spolem,
A Bóg chęciom dopomoże!

A kto więcej w tej podróży
Do nagrody praw zdobędzie:
Ten z nas w sercu ludzkim dłużej
I pocziwiej też żyć będzie!

W. B.

MIRKO, syn rybaka.

(Dalszy ciąg).

II.

Dawno już wygładziła się powierzchnia jeziora, a Mirko stał, nie ruszając się z miejsca, nie wiedząc, czy to była rzeczywistość, czy złudzenie. Wtem oczy jego padły na pierścień leżący na piasku; podniósł go, włożył na palec i zaczął mu się przypatrywać. Była to zwyczajna złota obrączka z niewielkim oczkiem z ciemnego szafirowego kamienia.

Chłopiec był tak oszołomiony, że zamiast iść do domu, bezwiednie poszedł brzegiem jeziora w stronę lasu. Niezadługo znalazł się pod cieniem olbrzymich dębów i jodek; miły chłód go owionął, oprzytomniał, usiadł na trawie i zaczął rozmyślać. Żal mu się zrobiło nieszczęśliwej królowej, która pewno ma ojca i matkę, a musi żyć zdala od nich w głębiach jeziora.—Na co mi dała ten pierścień, może dlatego, żebym nie zapomniał o jej prośbie; wszak ja jeden tylko mogę ją wybawić. A ten pierścień czyż on mnie potrzebny? Nieprzyjaciół nie mam, przed nikim kryć się nie potrzebuję. Muszę jednak stać się prawdziwie odważnym i nieustraszonym.

I rozmyślał dalej: — Gdzież tych zalet nabędę? Przecież nie stojąc z wędką nad jeziorem, lub nosząc ryby na targ. Muszę iść w świat! muszę uczyć się! Tyle rzeczy koło siebie zrozumieć nie mogę, może gdzie znajdę kogo takiego, co mi to wytłumaczy! Ale co się stanie z moją biedną matuchną? Tyle napracowała się, żeby mnie wychować, już wiele sił nie ma, opuścić jej nie mogę! Lepiej pozostać prostakiem i pracować na chleb dla niej.

Zadumał się biedny chłopiec, w tem żalony brząk zwrócił nagle jego uwagę.

Na krzaku leszczyny, rozpięta była pajęczyna, uwikłała się w niej złocista muszka i tak się biedna żali! Ogromny pająk krążył dokoła, co-

raz silniej omotywał swoją ofiarę i zbliżał się, żeby jej zadać cios śmiertelny. Mirko ulitował się nad nią, zerwał pajęczynę, muszkę oswobodził, chciał jeszcze zabić pająka, ale ten ukrył się szybko wśród liści.

— Czas wracać do domu — rzekł sam do siebie, patrząc za ulatującą muszką, w tem ona zamieniła się w śliczną wróżkę ze złocistymi skrzydełkami.

— Ocaliłeś mi życie, dobry chłopcze — rzekła śpiewnym, miłym głosem, — ten pająk to czarownik, który chciał mnie dostać w moc swoją. Powiedz, czego pragniesz, a spełnię każde twoje życzenie.

— Dobra wróżko! Chcę pójść w świat, szukać nauki, ale matka nie da sobie rady sama, daj mi więc sposób, żeby mogła żyć spokojnie przez czas mojej nieobecności.

— Stanie się według twego życzenia — odrzekła wróżka; — pójdz za mną! — i poleciała w powietrze na swoich złotych skrzydłach.

Mirko szedł jak zaczarowany, i raz widział przed sobą złotą muszkę, to znów śliczną skrzydlatą dziewczeczkę.

Nie zdawał sobie sprawy jak długo szedł leśną gęstwiną, nareszcie wróżka zatrzymała się przy wielkim czarnym kamieniu, wśród polany i przemówiła dźwięcznym głosem:

— Pod tym kamieniem jest wejście do dawnej, dziś opuszczonej jaskini rozbójników. Są tu nagromadzone ogromne skarby, zamknięte czarodziejskim słowem. Ja ci je otworzę.

Stała na kamieniu i wymówiła trzy wyrazy: „Selam, Elam, Melam,” a oto kamień odsunął się i Mirko ujrzał ciemny korytarz przed sobą.

— Idź śmiało! — zawołała wróżka — weź tyle złota ile potrzebujesz, potem zamknij jaskinię słowami czarodziejskimi, a jeżeli kiedy będziesz w ciężkiej przygodzie, wezwij wróżkę Świetlaną.

Wróżka znikła. Mirko zawahał się chwilę, zawstydzził się jednak zaraz sam przed sobą. Przecież musi być odważnym, jeżeli chce iść w świat. Zaczął więc schodzić na dół. Niebawem korytarz rozjaśnił się. Znalazł się w wielkiej podziemnej pieczarze. Leżały tam stopy złotych i srebrnych sztab i monet, naczyń srebrzystych, dzbanów, puharów i najrozmaitszych klejnotów. Mirko nie był chciwym, wziął więc tylko tyle dukatów, ile zdaniem jego było potrzeba na życie dla matki i na podróż dla niego. Potem wyszedł bez żadnej przeszkody, w końcu korytarza wymówił trzy czarodziejskie słowa Selam, Elam, Melam.

Kamień odsunął się i młody rybak stanął wśród leśnej polany.

Słońce zaszło oddawna, w lesie panował mrok, przed nim jednak leciał ciągle śliczny świętojański robaczek, jakby chciał przyświecać mu swoją latarenką. Wyszedł nareszcie szczęśliwie z lasu i pośpieszył do chaty.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Są trzy siostry.
Jedna lubi deszcze,
Druga mróz ostry,
Trzecia młoda jeszcze,
Kwiatki sieje ochoczo, jak w raj.
Zaś nijakiego rodzaju
Jest wśród nich istota czwarta,
Snać najwięcej z czterech warta,
Bo trzy na nią jak na panią,
Pracują przez koleżeństwo:
Co to za rodzeństwo?

LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE

(Mania i Tazio H.)

* W kwadracie o 6 przedziałkach ułożyć wyrazy, aby ich litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę miasta w Saksonii. 1) Miasto w Irlandyi. 2) Dopływ Wisły. 3) Państwo pod panowaniem Austrii. 4) Imię męskie zdrobniałe. 5) Imię męskie. 6) Gra towarzyska.

Sylaby: an - bli - chy - ca - cze - du - drę - dzio - do - mi - ni - no - ta - te.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 52.

Zagadki: kieliszek.

Lamigłówki w kwadracie:

S k a r g a
K r a k ó w
A n g l i a
R y m a r z
G r o d n o
A r a b i a



Skrzynka do listów.

Bodzenty prosimy o inny arytmograf.

P. Maksymilianowi P. Dzieła i powieści zapowiedziane w prospekcie i powtórzone w dzisiejszym numerze możemy dostarczać naszym prenumeratorom w ciągu całego roku. Pisma Hoffmanowej już wysłane.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Muszka z nad Rosi, Józefowicz, Żabka z nad Rosi, Kotka z Pilawy, Oleńka Wścibska, Czarna Perełka, Kmicic, Dzieci z Maryampola, Warszawiak, Józio B., Figlarz i Psotnik, Gimnazysta z Częstochowy, Zosia, Tola i Jadwisia z pod Torunia.

Od ciebie **Orle z Sokołnik** zaczynam dzisiejszą moją korespondencję. Jesteś królem ptaków należy ci się więc hołd pierwszeństwa. Składa go Jaskółka nie z obawy przed twemi drapieżnymi szponami ale w poczuciu czei królewskiemu ptakowi powinnej. Piszesz Orle bardzo starannie, tem więcej też zadziwia mnie, że do pisania używasz nogi nie ręki. Malarz Ludomir Benedyktowicz pozbawiony jest ręką a jednak to mu nie przeszkadza być słynnym artystą. Będę ci bardzo wdzięczną jeśli zechcesz zostać stałym moim kore-

spondentem i doniesiesz mi w przyszłym liście bliższe o sobie szczegóły.

Cyganecka z nad Nidy i teraz źle zgadła bo właśnie, chociaż wątpisz o tem, znam Pińczów i pamiętam wysoką górę, którą w drodze do Kielc, przebywać pod Pińczowem musiałam. Przyznaję ci jednak, że nie jest ona wcale tak piękna jak góry S-to Krzyżkie i pojmuję twoją za nimi tęsknotę. Za zyczenia przesłane dziękuję tobie Cyganecko i szanownym twoim Rodzicom, co zaś do twoego brata to radziłabym mu szukać przyjaciół w książkach. Któż lepiej naszym uczuciom i pojęciom odpowiedzieć potrafi jak wielcy a szlachetni poeci lub myśliciele. Nauczyć się z nimi przestawać, ich znać, to pozyskać na całe życie pewnych i wzniosłych duchem przyjaciół. Nie ma tak samotnego kąta na ziemi, w którymby oni zamieszkać z nami nie chcieli. Adres żądany Kapucyńska Nr. 3.

Jak to dobrze **Elutko M.** że piórowstręt, o który się obwiniasz, nie przeszkodził ci w przesłaniu Jaskółce miłutkich życzeń i liściku bardzo starannie napisanego. Lubisz rysować, to mi cię tem bliższą sercu czyni, bo ja także niezmiernie lubię moim nieudolnym drapać pazurkiem, i mam nadzieję, że Redakcyja zadość uczyni twój prośbie urządzenia rysunkowego konkursu, ale nie naprzd powiedzieć nie mogę, bo areopag redakcyjny oniemiała mnie, biedną ptaszynę, i rzadko kiedy w obec tego zgromadzenia świergotać się odważam. Spróbuję jednak poprzeć twój projekt.

Witam cię **Kmiciecu** w gronie moich korespondentów i szczyję się zuchem, który tak szybko zdobył drugą klasę jak jego imiennik szwedzką kolubrynę. Łamigłówki oddałam Redakcyi a teraz czekam z niecierpliwością przybiecanego mi opisu.

„O gdybym mogła!” Pisziesz **Morska Falo** i tyle szlachetnych wypowiedasz pragnień, że dałabym ci władzę wróżki, bo użyłabyś jej dla szczęścia biednych i wydziedziczonych. Czy czytałaś list Heli w 52 Numerze „Wieczorów.” Znajdziesz w nim odpowiedź na wiele twoich pytań, i tę prześliczną radę jaką daje nam poeta „Czyni każdy w swoim kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży.” Ty tego ducha rozumieć potrafisz, prawda kochana Falo? Patrząc na fotografię, która mi wielką zrobiła przyjemność, odtwarzam sobie w myśli twoje życie i zdaje mi się, że znam ten dwór wiejski, bramę chętnie otwieraną gościowi i twojego konika. Zanieś mu Falo cukru od Jaskółki.

Dziękuję ci **Córo Lechitów!** za szczegóły o twojem życiu. „Ja tak pragnę znać was dobrze, moje kochane korespondentki. Twoje dzieje są wyjątkowo zajmujące, dał ci Bóg znaleźć opiekę prawdziwie szlachetnych ludzi, a takich nadwzrostko cenić należy. Pytasz czy chcesz być twoją przyjaciółką. Ależ jestem nią dla wszystkich moich korespondentów. Cóżbo jest podstawą przyjaźni? zaufanie, szczerłość i wspólność celów do których dążymy, a te trzy cechy ma właśnie moje dla was uczucie.

Proszę kochanej Jaskółeczki poradzić mi co mam robić ażeby Wielmożny Pan Czas był dla mnie łaskawszy” narzeka **Czarna Perelka**. Tak, Czas to pan srogi, nie daje się ubłagać, nie staje dla nikogo, dziś prędko mija i za chwilę będzie już przeszłością, która nigdy nie wróci. Jest jednak kochana Perelko i na niego sposób, 1-e wyszukać każdą chwilę, 2-e nie odkładać pracy na potem, 3-e nie nigdy nie szukać, 4-e nigdy się nie niecierpliwić, 5-e nie marudzić ze wstawaniem i ubieraniem. Czy dobra recepta? A może gniewać się będziesz, że powtarzam znane przestrogi? Nie gniewaj się Perelko, bo ja chociaż dużo starsza od ciebie często sobie powtarzam te mądre rady.

Mały Prus śliczny obrał pseudonym. Cieszę się bardzo, że między moimi przyjaciółmi jest zuch, który chce iść w ślady wielkiego autora i prawdziwego przyjaciela nieszczęśliwych. Będę więc witała z radością twoje listy bo to zaszczyt prawdziwy korespondować z Prusem. Mam nadzieję,

że polubicie „Wieczory” ty i twój braciszek Bohdan, co zaś do siostrzyczki tę już szczerze pokochałam za to, że dobre umie dawać rady. A czy Tatusia długo głowa bolała, czy to zic już przeszło?

Mlechowita i Inżynier zrobili mi wielką przyjemność swoim listem starannie napisanym, i zawierającym wiadomość o narodzinach małej siostrzyczki. Proszę ucałować ode mnie tę kochaną Marylkę, ale nie bardzo mocno, bo gotowa się obrazić i płakać. Mam nadzieję, że szanowna wasza Mama już zdrowa, a dopomoże jej do odzyskania sił radość z dobrej nauki synów. Kiedy wasi braciszkwowie Felo i Wicior nie mają odwagi do mnie napiąć, chociaż mają ochotę więc ja do nich pierwsza piszę: „Kochany Felo i Wiciu Jaskółka nie jest wcale strasznym ptakiem, obawiać się jej nie należy. Ona bardzo lubi gniazda w których dużo żyje piskląt i chętnie pofrunęłaby do was. Napiszcie czy ją pragniecie poznać. No, teraz musicie odpisać, bo nie odpowiedzieć na pytanie, byłoby niegrzecznie.

Mój **Przyjaciel z nad Warty** ma zupełną słuszność pisząc, że nie zapomniałam o nim, i że list zaginąć musiał, skoro nie odebrał na niego odpowiedzi. Tak też było niezawodnie odpisuję więc skwapliwie na ten, który dziś otrzymałam. Cieszę się bardzo, że możesz używać ślizgawki i że twój brat uprzyjemnia wam czas muzyką, ty zaś kochany przyjacielu donieś nam jak spędziłeś święta i co porabiasz w czasie długich zimowych wieczorów.

Dziękuję ci kochana **Oleńko Wacibaska** za wiadomość o twoim siostrzeńcu, jego miłutkie *tiotia* słusznie może cię przejmować radością i dumą. Pamiętaj tylko, ty poważna ciuteczko, że należy ci być bardzo uważną piastując bobusia, bo o wypadek nie trudno, jak miałaś tego dowód na starszej siostrze. Pamiętaj także, że nie może redakcyja posłać ci żądanego numeru, bo nie przysłałaś adresu, a twoje łamigłówki musiały być nie podpisane gdyż z twoim podpisem żadnych nie odebrała. Za uścisk serdeczny i ja ci uścisk Oleńko przesyłam.

Nie darmo **Prządką złotych nici** się nazywasz gdy umiesz takie wesołe i promienne wysnuwać sobie dni, jak opisany w twoim liście dzień imienin. Przyjm życzenie byś zawsze szczęśliwą być mogła i szczęście drugim dawać umiała. Domyśl twój fałszywy, wymienione litery nie są literami mego nazwiska.

Łochozwianko miła, cały snop życzeń ci przesyłam i za twoje serdecznie dziękuję. A teraz posłuchaj, co ci Jaskółka odpowie:

Myślisz, żeś poznała mnie w redakcyi, a teraz do znajomej trudniej ci pisać w ten sam sposób pełen szczerości i prostoty, który tyle wdzięku nadawał twym listom. Otóż jesteś w błędzie. Znam dobrze wasze usposobienia i dlatego nie uległam twej chęci poznania mnie, a nawet namowom pani B. choć mi się serce rwało do tego i pozostałam nadal dla ciebie, jak i dla wszystkich moich korespondentów szczerze przyjazną, lecz nieznaną osobiście Jaskółką, ptaszyną nie pochwytaną. Z ciekawością rozpytywałam o ciebie i dowiedziałam się wielu miłych rzeczy, które utwierdziły mój sąd o tobie. Więc powrócimy do dawnego sposobu pisania! Na ulicy Hożej pod wskazanym adresem nie bywam. P. B. prosi abyś ją odwiedzać chciała w redakcyi i posiłkować się książkami.

Za kartki i życzenia noworoczne od: Waleryi M., Kokożki, Leśnej Poziomki, Myszki z Chrostowa, Litwinki z nad Świętej, Żabki z nad Rosi, Polnej Myszk, i za śliczną kartkę Wołodjowskiego dziękuję całym sercem i nawzajem choć już spóźnione życzenia przesyłam.

wasza **Jaskółka**.

